

# DEKADA Literacka

Alicja Helman: Zamienię kobietę, którą kocham ■ Poezja walijska w przekładach Andrzeja Szuby Listy: Z Tel-Awiwu i z Berlina ■ Felieton Chrzana du Jardin ■ Humoreska Wisławy Szymborskiej

**D**ziennik André Gide'a poprzedza jedna z ostatnich fotografii pisarza. Przedstawia ona starszego już mężczyznę w dziwnym nakryciu głowy (północnoafrykańska czapeczka?), o twarzy ascetycznej, w okularach, z papierosem w ustach; siedzi on na schodkach, w tle potężny księgozbiór. Podpis informuje nas, iż zrobiono to zdjęcie w bibliotece pisarza. Trzeba się było zatem wspinać ku potrzebnym woluminom, pokonywać labirynt książek, gubić się w nim i odnajdywać. To zdjęcie jakby nie pasuje do stereotypowego obrazu Gide'a — przede wszystkim „immoralisty”, oczywiście pisarza dwuznacznego. Wybór z *Dzienników* ukazuje się po raz pierwszy w polskim przekładzie (świątym, Joanny Guze), ale tym niemniej nie widzę zbyt wielkich szans zdobycia szerokiego, czytelniczego aplauzu. Pamiętników i wspomnień mamy dzisiaj wiele, ale nie są to zapiski dotyczące życia duchowego. Życie duchowe obchodzi tylko łagodnych hobbystów, do których i ja się zaliczam. Przeczytałam zatem Gide'a wbrew modzie i wyciągnęłam z niego pewne nauki.

Gide był pisarzem trzech epok. Urodzony w roku 1869, zmarły w 1951, musiał określić się wobec wieku XIX-go (pierwszy zapisek *Dziennika* pochodzi z roku 1890), wejść jako pisarz eksperymentalny (*Falszerze!*) w wiek XX-ty, zakosztować totalizmów, podjąć niebezpieczne przygody (podróż do ZSRR), przypatrzeć się francuskiej lewicy, zbliżyć się do komunizmu, dostać nagrodę Nobla w roku 1947, aby na koniec w roku 1952 (czego już nie doświadczył, bo umarł) Święte Officium wpisało André Gide'a *opera omnia* do księgi *Index librorum prohibitorum*... Dużo, jak na jedno życie, a jednak te wszystkie biograficzne burze podlegają w *Dzienniku* pewnemu szczególnemu wyciszeniu, albo lepiej: ujednoliceniu. Istnieje — według Gide'a — nadrzędna siła sprawcza, która życie artysty modeluje: *Nie powinien opowiadać swego życia takiego, jakie przeżył, ale żyć takim życiem, jakie opowie. Inaczej mówiąc: niech jego portret, którym będzie jego życie, utożsamia się z portretem idealnym, którego pragnie. I jeszcze prościej: niech się stanie takim, jakim chce być...* Wciąż ten sam dylemat: być moralnym, być szczerym.

Bez wątplenia, była to Wilde'owska dewiza — życie ma się dostosować do nas, nie zaś my do niego. Utożsamienie szczerości i moralności, któremu Gide był fanatycznie wierny tłumaczy wiele — jeżeli nie wszystko — w kolejach jego dzieła. Ale ciekawe — *Dziennik* — nie jest popisem ekshibi-

## Gide — nasz współczesny?

Marta Wyka



Jeden z najlepszych wydawców brytyjskich, Faber & Faber, opublikował ostatnio antologię poetycką, która wzbudziła pewne kontrowersje, lecz niezależnie od nich, a może tym bardziej winna być z uwagą odnotowana poza granicami Wysp Brytyjskich. Myślę o książce *The Faber Book of Modern European Poetry*, antologii poezji europejskiej, pod redakcją znanego angielskiego krytyka, eseisty i poety, A. Alvareza, autora m.in. książki o scenie kulturalnej Europy Środkowej i Wschodniej w czasach panowania komunizmu *Under Pressure (Pod presją)*, która stała się głośnym wydarzeniem lat sześćdziesiątych.

W przedmowie swej Alvarez pisze o chłodzie i braku zainteresowania Anglików inną poezją niż angielska, nadto rozważa ogólne problemy przekładalności poezji. Formuluje też tezę, która wywołała niemałe zdziwienie w Londynie (a zapewne też w Paryżu), że po drugiej wojnie światowej „tradycyjne źródła inspiracji na kontynencie wyschły”, natomiast — cytując dosłownie: „ośrodek poezji przeniósł się na wschód, do krajów, które do niedawna znajdowały się poza żelazną kurtyną”. Pogląd ten ilustruje najdrastyczniej sam wybór Alvareza, który w antologii swej pomieścił tylko dwu francuskich poetów (Ponge i Jacottet), przy aż sześciu Polakach!

Jest to fakt niespotykany dotąd, wręcz wyjątkowy. Lecz podkreślone przez Alvareza „przeniesienie się ośrodka” ukazuje się także w całej reszcie jego wyboru. Czeską poezję reprezentuje tu godziwie Holan, Bartuiek i bardzo tu ceniony Ho-

lub; węgierską — Weöres, Pilinszky, Ferenc Juhász i György Petri. Z rosyjskiej wybrano Pasternaka (biorąc pod uwagę tylko jego powojenne wiersze), Wozniesińskiego, Winokurova i dwoje emigrantów: Gorbaniewską i Brodskiego. Tak więc czysto liczebnie rzecz biorąc polska poezja „przebija” rosyjską, lecz Alvarez we wstępie wyjaśnia, że współczesna poezja rosyjska jest bardzo trudna do tłumaczenia na angielski z uwagi na jej tradycyjną „dźwięczność” i wersyfikację opartą na regularnych rytmach i pełnych rymach.

Z drugiej strony, Zbigniew Herbert jest tutaj jednym z niewątpliwych faworytów:

## Nowa antologia poezji europejskiej

on sprawdza się nawet w tłumaczeniu (kursywa Alvareza) i pisze wiersze „lepsze od większości tych, które napisano po angielsku w ostatnim ćwierćwieczu”. Podziwu jego dla autora *Trenu Fortynbrasa* dowodzi też fakt, że jedynie poetyckie strofy, które Alvarez cytuje w swej przedmowie, pochodzą z wierszy

Herberta (*Przesłanie pana Cogito, Kolatka*) i że styl, jaki zaleca dla poezji nowoczesnej — to „ironiczny” rodzaj klasycyzmu, ideał młodego Eliota.

Wszystko to winno radować i napędzać dumą nie tylko polskich czytelników, ale też i skromnego polonofila, autora tych uwag — lecz co z resztą antologii? Wymieńmy najpierw nazwiska innych zamieszczonych w niej polskich poetów: Aleksander Wat, Czesław Miłosz, Tymoteusz Karpowicz, Tadeusz Różewicz i — z powojennej generacji — Adam Zagajewski. (Z nich, oprócz Herberta, tylko Różewicz mieszka w Polsce). Dręczą mnie pewnie niepokoje co do proporcji. Choć cenię twórczość Wata, wołałbym mniej jego wierszy, a więcej Miłosza; brak mi tu także Szymborskiej i Barańczaka. Oczywiście, mógłbym podpowiedzieć więcej nazwisk, które Alvarez pominął w swej antologii trzydziestu czterech najbardziej interesujących europejskich poetów. W tym z francuskich Yves Bonnefoy, z serbskich Miodrag Pavlović, z węgierskich István Vas, z niemieckich Gottfried Benn i Peter Huchel, wreszcie litewsko-amerykański poeta Tomas Venclova — aby wymienić tylko tych kilku. Lecz w końcu jest to antologia „osobista”, nie zamierzona jako wybór najbardziej „reprezentatywnych” poetów drugiej połowy naszego stulecia. I jako taka, jest książką wybitną — być może wyznacza ona szczyt popularności, jaką kiedykolwiek poezja polska uzyskała w świecie anglojęzycznym.

George Gömöri (Londyn)  
tłum. el.

## Co nowego w prasie?

Rzeczowy i obiektywny obraz prozy lat osiemdziesiątych — tak podziemnej jak „legalnej” — przedstawił Tomasz Merta w szkicu *Proza stanu wojennego* („POLITYKA” nr 9). W pozbawionej wszelkich taryf ulgowych ocenie autora twórczość tamtych lat — ilościowo dość obfita, zawiera niewiele prac artystycznie w pełni wartościowych. Prozie podziemnej Merta zarzuca obciążenie funkcjami społecznymi, z czego wynikała doraźność, przyjmowanie zadań dokumentacyjnych i propagandowych. Wypomina skłonność do klisz romantycznych, zwłaszcza martyrologicznych. Tendencjom tym ulegali nawet pisarze tak doświadczeni jak np. M. Nowakowski, H. Krall, K. Orłoś lub S. Bieniasz. Z kolei twórczość pisarzy stojących po stronie władzy to zdaniem autora zbeletryzowana publicystyka o nikłej wartości literackiej, schematyczna i zafalszowana. Cechy charakteryzujące całą prozę lat 80. to: epigonizm, szablonowość (...), brak dystansu oraz czarno-biała wizja świata (...), statyczność postaci nie zmieniających się w czasie — to wszystko każe podejrzewać tę prozę o związek... z socrealizmem (...). Z literatury stanu wojennego ocalały utwory wolne od owej „jednotorowości” (choćby „Rozmowy...” Rymkiewicza, „Agitka” Bojarskiej, „Studnia” Jagiełły, czy „Ciemnia” Latawiec). Może to być z pewnością dowód zwycięstwa literatury „wątpliwości” nad literaturą „zaangażowaną” (...).

Instytut Książki i Czytelnictwa, działający przy Bibliotece Narodowej, przeprowadza co kilka lat kompetentne badania socjologiczne nad czytelnictwem w Polsce. Przedostatnie odbyły się w r. 1985, ostatnie — przeprowadzone na 1525-osobowej próbie losowej respondentów powyżej 15-roku życia — w końcu 1992 r. Ich wyniki, omówione w „GAZECIE WYBORCZEJ” (nr 47), są zaskakujące dla bardzo wielu ludzi mówiących i piszących o aktualnym stanie kultury w naszym kraju. Okazuje się bowiem, że w stosunku do r. 1985 społeczeństwo czyta nie mniej, jak się powszechnie mniema, lecz więcej. Przed 7 laty 55 proc. mieszkańców wsi podało, że nie czyta w ciągu roku ani jednej książki, dziś tylko 39 proc. Organizatorzy badań tłumaczą ten wzrost masową produkcją literatury popularnej, docierającej przede wszystkim do czytelników o wykształceniu podstawowym lub zasadniczym (a jest to większość Polaków), którzy dawniej po ukończeniu szkoły rzadko sięgali po książkę. Taką interpretację zdaje się również pośrednio potwierdzać fakt, że obecnie więcej badanych nie potrafi wymienić nazwiska ulubionego autora (ponad 50 proc., gdy w 1985 r. tylko 39 proc.). W tej kategorii literatury autor, zwykle z obco brzmiącym nazwiskiem, pozostaje dla czytelnika kimś anonimowym, ważny jest jedynie tytuł i obrazek na okładce. Mimo zalewu literatury popularnej kolejność pięciu najulubieńszych pisarzy wymienianych przez respondentów pozostaje niezmienną od lat i wygląda następująco: Sienkiewicz, Kraszewski, Rodziewiczówna, Mickiewicz, Orzeszkowa.

„LITERATURA” w I tegorocznym numerze ogłasza swe nagrody za r. 1992. Nagrodę za książkę roku w dziedzinie poezji przyznano Zbigniewowi Herbertowi za tom wierszy *Rovigo*, nagrodę młodych Andrzejowi Sosnowskiemu za debiutancki tomik wierszy *Życie na Korei*. Nie przyznano nagród w dziedzinie prozy ani krytyki literackiej. Komentując werdykt jury Krzysztof Mętrak stwierdza, że choć w ostatnich latach ukazało się wiele ważnych książek krytycznych i teoretycznych oraz pojawiło się kilku bardzo zdolnych autorów, krytyka jako całość stała się partykularna, zacietrzewiona, zwyczajnie towarzysko i politycznie przekupna.

J.L.

## Varia

### Stanisław Lem po rosyjsku

W ostatnich dniach ubiegłego roku moskiewskie wydawnictwo Tekst wydało pierwszy tom *Dzieł wszystkich Stanisława Lema*. Przewiduje się, że nie później niż do połowy 1994 roku ukaże się następnych dziewięć tomów, każdy w nakładzie 200.000 egzemplarzy. Dziesięciotomowe rosyjskie wydanie zawierać będzie także teksty, które nigdy dotąd nie ukazały się po polsku, między innymi autobiografię pisarza noszącą tytuł *Moje życie* (oryginał w języku niemieckim) oraz opowiadanie pt. *Pożytek ze smoka* z cyklu *Opowieści Ijona Tichego*. Jedyna dotychczas pełna edycja jego dzieł ukazała się w Niemczech, jednakże jej nakład był niewielki. Tak więc twórczość jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich nadal cieszy się większym powodzeniem poza granicami kraju. Należy uznać to za sukces, że twórczość Lema ma jeszcze większe uznanie wśród rosyjskojęzycznych czytelników.

Konstantin Duszenko  
(Moskwa)

Dziękujemy Gminie Miasta Kraków za wsparcie finansowe przy wydaniu jednego numeru „Dekady Literackiej”

Redakcja

\*\*\*

1 marca br. w Instytucie Filologii Polskiej UJ odbyła się prezentacja tomu poezji KARLA LUBOMIRSKIEGO, dwujęzycznego zbioru wydanego przez lubelskie wydawnictwo „TEST”.

Karl Lubomirski urodził się w 1939 roku w Hall (w Tyrolu), pisze wyłącznie po niemiecku. Od czasu wydania tomu *Meridiane der Hoffnung* (1976) jego twórczość cieszy się coraz większym powodzeniem. W *Postawie* tłumacza, Wojciecha Kunickiego, czytamy m.in.: *Liryka Lubomirskiego jest częścią antymodernistycznego nurtu nowszej poezji austriackiej*. Jednym z najważniejszych pojęć tej liryki jest ojczyzna — *Istnieją więc w lirycie Lubomirskiego jakby trzy kręgi „ojczyzny”, trzy możliwości jej kreacji w słowach i sensach. Pierwszy krąg bardzo bliski: Tyrol z jego krajobrazem, tradycją duchową. Drugi to Włochy, gdzie poeta mieszka (...). Wreszcie Polska jako kraj tajemniczych przodków, przedmiot tajemnej miłości i uniesień.* (kl)

### Drodzy Czytelnicy!

Zmuszeni jesteśmy niestety podnieść cenę naszego pisma. Od dłuższego już czasu była ona znacznie zaniżona w stosunku do kosztów wydawniczych. Ci z Państwa, którzy opłacili wcześniej prenumeratę, zaoszczędzili! Prenumerata półroczna i roczna nie ulegnie zmianie mimo drastycznej podwyżki opłat pocztowych. Natomiast prenumerata kwartalna od 1 kwietnia wyniesie 55.000 zł.

Przypominamy warunki prenumeraty zagranicznej: kwartalna wynosi 10 USD, półroczna 20 USD, a roczna 30 USD.

Wpłaty prosimy dokonywać na: Krakowska Fundacja Kultury, ul. Kanoniczna 7,

Kol. Wiesławowi Pawłowi Szymańskiemu wyrazy serdecznego współczucia w związku ze śmiercią Jego Żony, ś.p. Danuły, składają

Przyjaciele i koledzy ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Krakowie

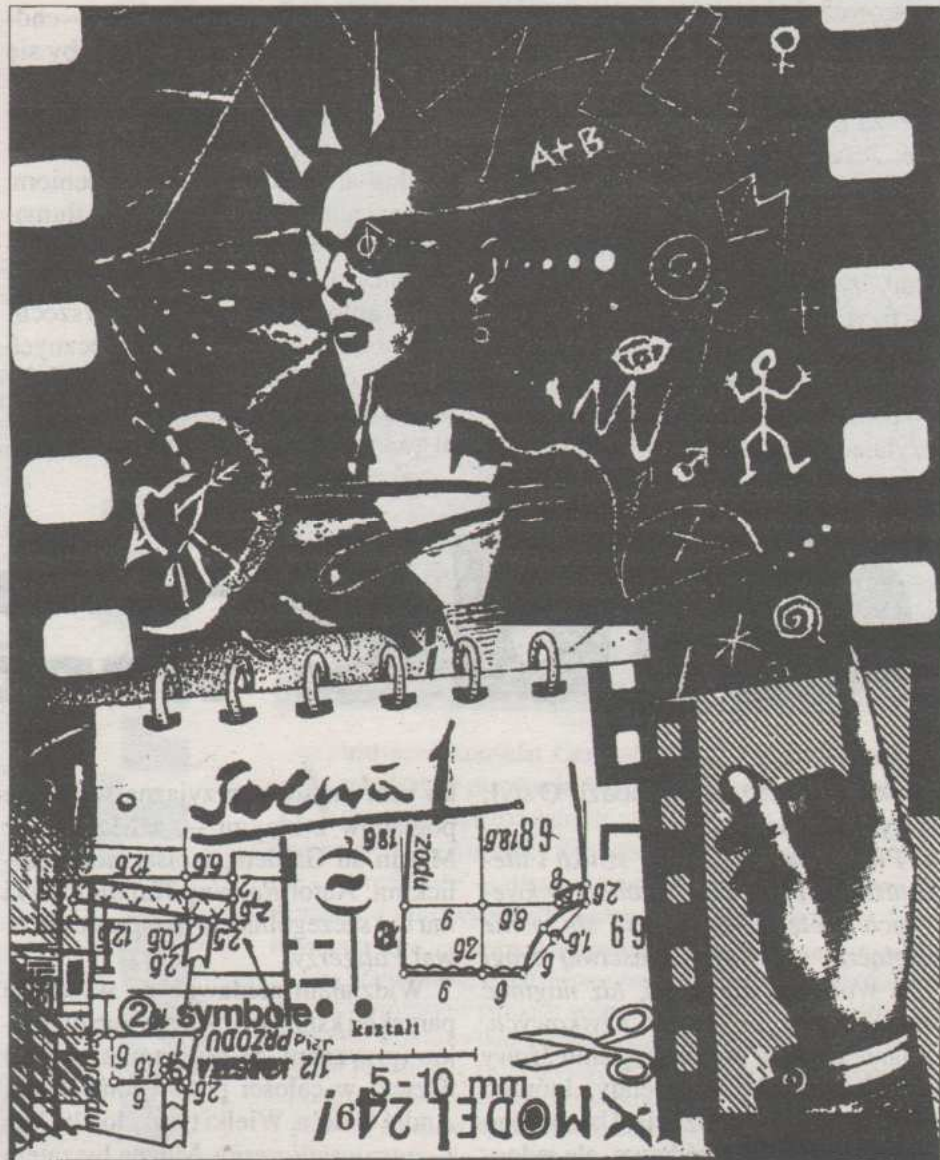
**D**ziecko Rosemary (1968) Romana Polańskiego, *Pocalunek przed śmiercią* Gusa Van Santa i *Żony ze Stepfordu* (1974) Bryana Forbessa nie składają się we wspomnieniach kinomana na całość, którą z jakichkolwiek powodów należałoby rozpatrywać łącznie. Dzieli je dystans w czasie — pierwszy był na ekranach dawno, drugi niedawno, trzeci można obejrzeć tylko na video. Należą też do różnych kategorii. O ile *Dziecko Rosemary* to film słynny i wybitny, o tyle o nisko cenionych *Żonach ze Stepfordu* mało kto słyszał.

Łącznikiem oczywistym jest nazwisko Iry Levina, autora popularnych powieści będących podstawą wszystkich trzech filmów, z których najwcześniejsza — *Pocalunek przed śmiercią* dopiero ma się ukazać w języku polskim, natomiast była ekranizowana dwukrotnie (po raz pierwszy w 1956 roku przez Gerda Oswalda). Książki Levina spotkały się z uznaniem reżyserów amerykańskich. Powszechnie uchodziły za „świetne powieści”, idealnie nadające się do sfilmowania i to bez żadnych istotnych zmian. O prawa do adaptacji zabiegały wielkie wytwórnie i głośni reżyserzy. Poza już wymienio-

obrazami bohaterki, nawiedzanych przez uosobione w mężczyznach zło, Levin nie tyle daje wyraz zainteresowaniu amerykańskim piekłem kobiet, co rozprawia się z amerykańskim mitem męskim — mitem sukcesu za wszelką cenę, bowiem jedynie sukces stanowi o wartości mężczyzny.

Znane interpretacje *Dziecka Rosemary* mieszczą się między biegunami uznania bohaterki bądź za paranoiczkę, która walczy z urojonym niebezpieczeństwem grożącym jej i mającemu się narodzić dziecku, bądź za ofiarę spisku satanistów. W pierwszej kolejności jest ona jednak ofiarą Guya, własnego męża, ambitnego aktora grywającego „ogony”, którzy marzy o sławie i karierze. Subtelna równowaga czulego związku młodej pary zakłócają niepokojące sygnały, które dla Guya oznaczają życiową szansę — nagle zastępstwo otwiera mu perspektywę kariery, która dalej wspaniale rozkwita; dla Rosemary zaś to, co się dzieje, a może być rezultatem zbiegu okoliczności i jej przewrażliwienia, znaczy, że mąż jak najbardziej dosłownie sprzedał ją sekcje satanistów, by urodziła nowe wcielenie diabła.

Wybór profesji bohatera nie jest przypadko-



Ilustracja: Grażyna Borowik

## Zamienię kobietę,

## którą kocham...

nymi tytułami książek Levina jego *Chłopcy z Brazylii* (1978) wziął na warsztat Franklin Schaffner angażując plejadę gwiazd, takich jak Gregory Peck, Laurence Olivier, James Mason i Lilli Palmer. *Śmiertelną pułapkę* (1976) zrobił Tobe Hooper — tuż po „Teksaskiej masakrze piłą łańcuchową” — utrzymując ją konsekwentnie w konwencji najbardziej krwawej odmiany horroru — *gore*. Zrealizował on w stylu starych komiksów opowieść o mieszkańcu bagien, który karmił swego krokodyla turystami oraz ich dziećmi.

Łącznikiem nieoczywistym między znanymi u nas adaptacjami Levina jest natomiast ich więź tematyczna i ideologiczna, a także fakt, iż konwencja horroru funkcjonuje jako maska problemów całkowicie rzeczywistych i w pełni aktualnych. Rzeczywiste znaczenie tych błahych, choć zajmująco opowiedzianych historyjek, dalece wykracza poza oczywiste sensy fabuły. Jeśli rozpatrujemy je osobno nie wydają się zawierać żadnej „tajemnicy”, niczego, co skłaniałoby do interpretacji. Zwłaszcza, że konwencja horroru usprawiedliwia wszystko, co wykracza poza naturalny porządek zdarzeń, a my oceniamy jedynie wirtuozeryę, z którą niesamowitość wyłania się ze swojskiej i doskonale zrozumiałej codzienności. Jeśli jednak zestawimy ze sobą zarówno powieści Levina, jak i ich filmowe adaptacje, zauważymy, że gładka powierzchnia sprawnie opowiedzianej historyjki osłania ukryty przekaz. Być może, jest to przekaz sformułowany przez autorów nie do końca świadomie, a nawet wręcz nieświadomie, który ujawnia to, czego kultura amerykańska nie odślania chętnie.

Wszystkie trzy powieści i filmy ukazują powolną transformację młodych, szczęśliwych żon w nieszczęsne, udreżone stworzenia, przesładowane koszmarami prowadzącymi do śmierci lub obłądzenia. Dzieje się to za sprawą i z winy mężczyzn, ich włanych mężów, w których miłość i oddanie początkowo miały powód wątpić. Podobnego obrazu kobiecego zniewolenia i udreżenia nie stworzyła żadna najbardziej zatwardziała feministka. A — wbrew żeńskiej końcówce imienia — Ira Levin jest mężczyzną, którego nie należałoby jednak postrzekać o profeministyczne skłonności. Swoimi

wy. Podręczny aktor jest istotą zzeraną przez ambicję, bowiem o jego losie przesądza jedna tylko alternatywa: albo będzie do końca życia nikim, albo rzuci świat do swoich stóp. Pragnienie sławy, znaczenia, pieniędzy jest silniejsze niż miłość do żony i nienarodzonego dziecka. Guy zrobi wszystko, aby osiągnąć szczyty gwiazdorskiej sławy.

W *Pocalunku przed śmiercią* bohater jest dzieckiem z dołów społecznych natchnionym czy raczej opętanym mitem wielkiej kariery, która wyniesie go na szczyty władzy i potęgi. Ma jej przykład przed oczyma — nazwisko znanego potentata na cysternach, które może obserwować z okien swojego domu, rudery leżącej tuż przy torach kolejowych. To nazwisko staje się dlań symbolem, pragnie być jak On, być Nim, zdobyć to, co Jego. Konsekwencją z jaką Jonathan dąży do celu jest wręcz paranoiczna. Dostaje się na uczelnie, gdzie studiuje córka jego idola i stara się zdobyć jej względy. Ale sprawy przyjmują nieprzewidywany przez niego obrót. Dorothy widzi w małżeństwie z Jonathanem szansę uwolnienia się od ojcowskiej tyranii. Zachodzi w ciążę, planuje potajemny ślub i skromne, proste życie. Jonathan nie waha się przed zamordowaniem dziewczyny, bowiem związek z nią nie prowadzi do wymarzonego celu. Przypadek sprawia, że zyskuje jeszcze jedną szansę. Następne dokonane przezeń morderstwo pozwala mu upozorować własną śmierć i przyjąć tożsamość innego mężczyzny, zmienić miejsce zamieszkania i profesję oraz zdobyć uczucie siostry Dorothy. Drogę do ołtarza znaczą kolejne ofiary — tych, którzy mogliby zidentyfikować Jonathana i odkryć jego dawny związek z Dorothy. Bohater osiąga swój cel — pozycję społeczną, posadę w firmie teścia i jego zaufanie. Zbyteczna jest tylko żona, entuzjastka pracy społecznej, unikająca kontaktów z ojcem, dążąca do usamodzielnienia się i łaknąca miłości swego męża. Odkrywa tajemnicę jego tożsamości i popełnione zbrodnie. To oznacza śmierć z ręki męża, przed którą ratuje ją tylko to, że on ginie pierwszy.

W *Żonach ze Stepfordu* nie ma już jednego mężczyzny o władniętego żądzą sukcesu, zmierzającego do celu choćby po trupach. Jest zmożony klub męski nie dopuszczający

kobiet. Katherine Ross i Paula Prentiss grają szczęśliwe młode żony, których mężowie zdecydowali się osiąść wraz z rodziną w małym miasteczku, w którym życie przypomina idyllę. Nasze bohaterki, kobiety energiczne, przedsiębiorcze, po trosze feministki są zaskoczone postawą swoich sąsiadek, z którymi nie mogą nawiązać kontaktu. Kobiety te oddane są rodzinie i pracy domowej w sposób tak wyłączny, że nic je nie interesuje poza porządkami, praniem, gotowaniem i chęcią przypodobania się mężowi. Są zawsze tak zadbane i promienne, iż wydają się nieautentyczne jak postaci z reklamy.

Nowo przybyłe po krótkim czasie też upodabniają się do reszty, a nasza bohaterka, Joanna z przerażeniem stwierdza, iż jej zbuntowana przyjaciółka również poddaje się zniewoleniu i przybiera typową postawę wzorowej żony. Prywatne śledztwo Joanny prowadzi ją do odkrycia, iż klub mężczyzn zrzesza głównie informatyków, którzy mordują swoje niepokorne małżonki zastępując je doskonałymi automatami na miarę swoich marzeń. Joanna próbuje wyjechać, a wreszcie uciec, lecz zostaje schwytana. W finale filmu widzimy ją piękną, elegancką, uśmiechniętą wśród innych wzorowych żon ze Stepfordu. Schemat jest tu identyczny jak w *Dziecku Rosemary*, tyle że z zachowaniem całkowitej dwuznaczności. Nie wiemy czy Joanna jest kandydatką na pacjentkę psychiatry i zostaje wyleczona, czy też pada ofiarą męskiego spisku i zostaje zastąpiona swą mechaniczną repliką.

Jeśli opowieści Levina nie traktować dosłownie (a któż weźmie serio fakt urodzenia szatana, lub zastąpienia kobiety robotem? Jedyne morderstwa psychopaty Jonathana mieszczą się w strefie prawdopodobieństwa), to wówczas zobaczymy, że próbuje on zobrazować to, jak przeciętna, amerykańska kobieta widzi swoją sytuację w stosunku do mężczy-

zny. Przede wszystkim jest ona kochanką, żoną i matką, później ewentualnie osobą, „kims”, indywidualnością. Nim jednak zdąży się stać jakąś potencjalną „sobą” zostaje „sprzedana” (Rosemary), zabita (Dorothy) lub „zastąpiona” (Joanna). Ta kobieta, którą mogłaby się stać gdyby danym jej było stanowić o sobie, przeobraża się prędzej czy później, bardziej lub mniej kompletnie, w Kobieta Wyobrażoną, taką jaką pragnąłby mężczyzna widzieć u swego boku.

Powieści Levina i filmy zrealizowane na ich podstawie ukazują jak kobiece wyobrażenia o miłości i szczęściu (On poświęca cały swój czas i wszystkie myśli Jej) zderzają się i kolidują z męskim pragnieniem sukcesu, władzy i znaczenia. W imię tych celów mężczyzna „zabija” tę, którą kochał, aby odnaleźć tę, której potrzebuje. Kobieta powolną jego oczekiwaniom (Rosemary), wymarzoną córkę milionera, który dzierży klucze otwierając wszystkie drzwi (a więc nie tyle Dorothy bądź jej siostra — egzemplarze doskonale wymienne — co ich ojciec), a wreszcie mechaniczną, kobietopodobną lalkę (przeobrażona Joanna), rzecz pełniącą funkcję kobiety. Rzeczywistość zdaje się przekraczać horror. Natomiast obrazy horroru mówią nam o kondycji kobiety amerykańskiej i regułach rządzących męskim „wyścigiem szczurów”, coś diametralnie różnego niż wszelkiego rodzaju „opowieści rodzinne”, komedie, melodramaty i musicale, w których zakłócona na wstępie równowaga między światem męskim i kobiecym, zostaje szczęśliwie przywrócona i satysfakcjonuje wszystkich zainteresowanych. Horror odsłania ciemną stronę amerykańskiego snu i głębokie rysy na tym autoportrecie społeczności, który przekazuje nam popularna kultura amerykańska w swych pogodnych, krzepiących obrazach uporządkowanego świata szczęśliwych ludzi.

Alicja Helman

cjonizmu. Przeciwnie — dyskrekcja Gide'a w kwestiach intymnych może służyć za przykład — moralistom właśnie. Jest szczery, ale powściągliwy i utrzymuje w korbach naturalności swoje związki z mężczyznami i małżeństwa z kobietami, traktując je jako atuty życia duchowego. Tak właśnie — fizyczność duchowości służy, duch buduje się na jej fundamentach, sublimuje ją i przetwarza w wartości. Gide — pisarz niemoralny? Trudno byłoby, czytając *Dziennik* — dojść do takiej

wionym konwenansie. Dzisiaj — chociaż wolałabym się mylić — to by się zdarzyć nie mogło.

Gide wiele miejsca poświęca w *Dzienniku* swoim różnorodnym intelektualno-artystycznym zatrudnieniom. Jest przecież dobrym pianistą, tłumaczem Szekspira, dociekliwym czytelnikiem, animatorem rozmowy — nie tylko autorem książek. Ta wszechstronność, wyrosła z XIX-wiecznych korzeni, odróżnia go od rzemieślników pióra i daje mu wolność osobistą. Czyni go samowystarczalnym, choć wyso-

gólnej pewności siebie, jaką odznaczał się autor *Patuby*.

*Idee przedstawiać zawsze tylko jako funkcje temperamentów i charakterów* — czytamy w *Dzienniku Falszerzy*. Ta zasada naprawdę w powieści funkcjonuje i pobudza jej krwioobieg. *Falszerze* są powieścią o „idei dojrzewania” i o środowisku paryskich gimnazjalistów w latach 20-tych; o pewnym pisarzu i o „idei perswazji” rozumianej jako bodziec artystyczny; o francuskim mieszczaństwie i jego moralnym gorszeniu, czyli o swoistej „anty-idei”. Sło-

# Gide — nasz współczesny?

konkluzji. O cóż zatem chodzi? O styl; o styl bycia artystą.

*Przekonany jestem, że sztuka i literatura nie mają nic do roboty w kwestiach społecznych, a jeśli się w nie zaplączą, schodzą z właściwej drogi (...)* *Wolę nic nie pisać, niż naginać moją sztukę do celów użytkowych.* Zdanie to pisze po przeczytaniu *Mowy do Narodu Europy* Bendi, którego zresztą szczerze podziwia. Uznaje jego intelektualne przywództwo, ale jednocześnie widzi jasno tę tundamentalną różnicę pomiędzy stylem artystycznego istnienia, a stylem umysłowego działania. Cały więc byłby z *fin-de-siècle'u*, z przełomu stuleci? Tego też powiedzieć stanowczo się nie da.

Mieszają się w jego zapiskach relacje z pozornie sprzecznych inspiracji, jak chociażby ta dotycząca komunizmu i Ewangelii. I mówi: *... do komunizmu nie przywiódł mnie Marks, lecz Ewangelia. Przez Ewangelie zostałem uformowany. Nauki Ewangelii nadały kierunek mojej myśli, wpoily mi niepewność co do własnej wartości, szacunek dla drugiego człowieka (...)* *Wzmocniły we mnie pogardę i wstręt (...)* *do wszelkiego posiadania, do zagarniania czegokolwiek.*

Zatem Gide uważał się za człowieka religijnego — to doprawdy ciekawe, gdy zważyć losy jego książek w optyce „kościelnej”, anatemę Świętego Oficjum, a także pewną, szczególną przysługę, jaka spotkała go w latach 20-tych. Poruszyła ona do tego stopnia moją wyobraźnię, że muszę ją tutaj zrelacjonować. Otóż Gide'owi złożył wizytę Jacques Maritain. Nic by w tym ostatecznie nie było dziwnego, gdyby nie cel tej wizyty. Maritain, uznany autorytet neotomizmu, człowiek światły, przyszedł, aby odwiedzić Gide'a od publikacji *Korydona*. Była to książka, którą uznano potem za wyjątkowo śmiałą apologię homoseksualizmu. Gide nie uległ perswazjom, *Korydon* ukazał się drukiem. Widzę ich obu: Maritain, szczupły, ascetyczny, szlachetna twarz; ale Gide podobny w wyglądzie, wyraziste rysy, może niższy. Podobna powłoka i jakże odmienne wyposażenie ducha! A jednak mogli sobie pozwolić na tę rozmowę. Myślę, że — pominąwszy jej pewną absurdalność — przebiegała ona w sposób bardzo zrównoważony. Rozstali się, każdy nieprzekonany o racji drugiego. Ale rozmowa mogła zaistnieć, spełnić się w kulturowym, błogosła-

ko ceni on sobie przyjazną wymianę poglądów z innymi — z Malraux, z Martin du Gardem, z pisarzami katolickimi. Autor *Rodziny Thibault* bliski mu był szczególnie, to jemu zadedykował *Falszerzy*.

Widziałam niedawno na wystawie paryskiej księgarni czasopismo literackie (przyznam, że nie pamiętam jego nazwy) w całości poświęcone dziełu André Gide'a. Wielki tytuł głosił: *Gide — nasz współczesny*. Można by zatem zapytać: dlaczego? Francuzi mają oczywiście swoje powody, aby do tego pisarstwa powracać. Ale czytany dzisiaj *Dziennik* ma w sobie faktycznie coś szczególnie pobudzającego. Czy więc rzeczywiście „współczesny”? Czasowa rozpiętość doświadczenia Gide'a pozwala zobaczyć w nim artystę reprezentatywnego dla naszego stulecia. Zanurzony w jego historię był wobec tej historii oporny; przeciwstawił się jej, walczył z nią. Zachował swoje liczne azyle i miejsca intymne — obojętne, jak je oceniamy. Zachował coś z wielkości XIX-wiecznego artysty — kapryśnego, dumnego, słabego lub wzniosłego na przemian płaczącego w chwilach wzruszenia i praktycznego, gdy trzeba.

W roku 1958, we wstępie do przekładu *Falszerzy* Julian Rogoziński napisał: *Niektórzy zdziwią się zapewne i obruszą — ale długie życie André Gide'a trudno nazwać inaczej aniżeli przykładowym. Nie mnie pierwszemu przyszło to do głowy, ale Szwedem, od których w roku 1947 Gide otrzymał nagrodę Nobla. Czytamy w biuletynie Królewskiej Akademii Szwedzkiej (...)* *»Zarzucono często Gide'owi, że deprawuje młodzież i sieje wśród niej zamęt, musiano wreszcie przyznać, że wywarł on wpływ ogromny i wpływ ten wielu poczytało za zgubny. Oskarżenie tego rodzaju wnosi się jak świat światem przeciw każdemu, kto wyzwał umysły. Protestować nie ma sensu: wystarczy zważyć, ile są warci jego prawdziwi uczniowie...«*

Gide skandalizował swoje pokolenia już w roku 1897 — *Pokarmami ziemskimi*. Ale najlepszą jego książką pozostaną *Falszerze*, nowoczesna powieść autotematyczna. Można ją czytać równoległe z *Patubą* Irzykowskiego — co oczywiście jest komplemtem pod adresem Irzykowskiego skierowanym. Ale *Falszerze* pozbawieni są — na szczęście — analitycznej kostyczności Irzykowskiego i tej szcze-

wem, zarówno forma (powieść i proces jej powstawania) jak ów zbiór idei przechodzą przez filtr osobowości, temperamentu i subiektywności bohaterów. I to wszystko czyta się dzisiaj bez obciążenia czasu — a przecież ponad pół wieku upłynęło od publikacji *Falszerzy*.

Pisarstwo jest również grą a nawet identyfikacją z rolą. Uważany przez grono bliskich artystów za osobistego przyjaciela diabła Gide zrewanżował się słynną depezą, którą w parę dni po pogrzebie pisarza miał otrzymać François Mauriac: *Nie ma piekła. Możesz sobie pohulać. Daj znać Claudelowi. André Gide. Przyjaciele wybaczyli nieboszczykowi ten żart. W głębi duszy sądzili zapewne, że wszyscy spotkają się w niebie. Jak przypomina Rogoziński, Gide był dla katolików „ateuszem opatrnościowym”. Pokazywał bowiem również pokusy religii i tęsknił za akceptacją religijną. To też jeden z problemów naszych czasów.*

Być może ten nagły renesans Gide'a ma coś wspólnego z sytuacją końca wieku? Nie wiem, czy można polegać na poznawczej sile analogii. Zawierając jej ostrożnie, do pewnego tylko stopnia, dałoby się podjąć próbę następującego rozumowania. Poprzedni przełom stuleci odznaczył się falą artystycznych buntów. Gide był jednym z bohaterów, którzy pierwsi wstąpili na barykadę rewolty. Dzisiaj nazwano by go artystą alternatywnym. Rozbijał formy, obalał konwenanse. Prowokował, ale czynił to z miłości do sztuki i kultury. Zdawało mu się bowiem, że są one zbyt mało kochane, że zasługują na większą zaborczość uczuć. Kiedy w następnym *fin-de-siècle'u* mówimy o kryzysie sztuki, jesteśmy niby Gide siedzący na schodkach swojej wspinałej biblioteki. Biblioteka staje się metaforą, chcielibyśmy uratować wszystkie jej książki przed zapomnieniem, nieuczciwą lekturą i wyrokami z zewnątrz. Ale biblioteka jest również labiryntem — po Eliadowsku rozumianym. Krążymy po nim od stulecia, nie widząc wyjścia, ale doświadczając ahistoryczności labiryntu. I to doświadczenie zdaje się nam wyzwoleniem, wtajemniczeniem, religią naszego czasu. I to również Gide nam uświadamia.

Marta Wyka

## Gdy być

O WYDAWNICTWACH

Przez lata Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, założone w roku 1945, były absolutnym monopolistą w zakresie podręczników szkolnych. Produkowały podręczniki bez większych kłopotów na zamówienie władz oświatowych, a Składnica Księgarska zajmowała się dystrybucją tej całej wielomilionowej „masy towarowej”. Jak więc obecnie, w sytuacji, gdy Ministerstwo Edukacji Narodowej nie jest już zleceniodawcą, nauczyciele mają prawo wyboru podręczników, a Składnica Księgarska zbankrutowała, radzi sobie wydawnictwo, które nie może przecież zmienić swego dotychczasowego profilu? Z takim pytaniem zwróciłem się do dyrektora Andrzeja Chrzanowskiego.

Andrzej Chrzanowski przyszedł do Wydawnictw Szkolnych niedawno. Wygrał konkurs na dyrektora — poprzednio był redaktorem, a potem dyrektorem ds. handlowych w „Czytelniku” — i przystąpił do systematycznego reformowania wydawnictwa dostosowując jego strukturę i sposób funkcjonowania do nowych warunków rynkowych.

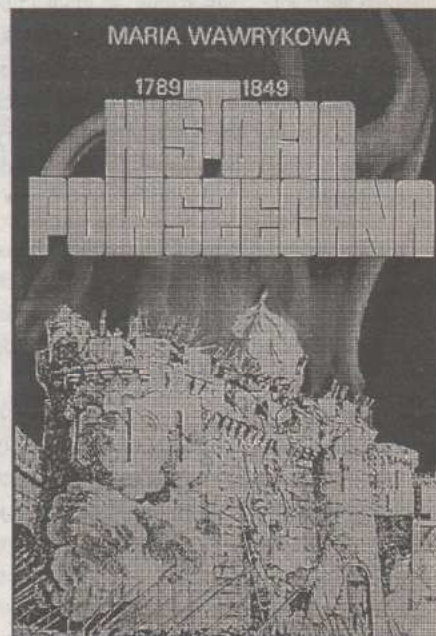
### „Będziemy my i będą inni”

— Przyjęliśmy założenie, że konkurencja, z jaką mamy od pewnego czasu do czynienia, nie paraliżuje naszych działań, lecz wręcz przeciwnie, mobilizuje do szukania nowych pomysłów na sprawne funkcjonowanie nowoczesnego wydawnictwa, jakim chcielibyśmy zostać. Poza tym konkurencja nie jest jeszcze silna. Nadal zdecydowanie dominujemy w dziedzinie produkcji podręczników z zakresu szkoły podstawowej i średniej, które znalazły się w wykazach MEN-u. Inaczej natomiast przedstawia się sytuacja w dziedzinie tzw. książek pomocniczych. Można powiedzieć, że produkcja nasza obejmuje mniej więcej 50% tytułów obecnych na rynku. To, że przestaliśmy być monopolistą wynika również — a może nawet przede wszystkim — z faktu wprowadzenia swobody programowej. Możliwość wyboru podręcznika przez nauczyciela bardzo utrudnia decyzje wydawnicze.

Niemożliwe stało się obecnie precyzyjne ustalenie nakładu. Borykamy się więc z tymi samymi problemami, co inni wydawcy, tyle że skala problemów jest szersza.

Gdy przyszedłem na pierwszą rozmowę do dyrektora Chrzanowskiego, myślałem, że nie precyzyję się do bramy wydawnictwa przez zwarty tłum młodzieży oblegającej wejście do mieszczącej się na dole budynku księgarni szkolnej. To właśnie m.in. wynik ostrożnego planowania przez Wydawnictwa Szkolne nakładów podręczników. Okazało się, że nakłady nowych podręczników są za niskie, a bardzo niewiele księgarni w Warszawie ma pełną ofertę tytułową WSiP. Konieczne jest więc lepsze rozeznanie potrzeb szkół. Wydawnictwo tworzy w tym celu sieć swoich reprezentantów w całej Polsce.

Wbrew pozorom, nie ma jeszcze wielu wydawnictw publikujących podręczniki, a już na palcach jednej ręki można wymienić te, które dorównują poziomem Wydawnictwom Szkolnym, np. PWN, Gdańskie Wydawnictwo Oświatowe, czy też wydawcę bardzo udanego zbioru ćwiczeń z matematyki „I ty zostaniesz



# przestaje się monopolistą

SZKOLNYCH I PEDAGOGICZNYCH

Pitagorasem" — Oficynę Wyd.-Poligraficzną i Reklamowo-Handlową „Arlam”. Obok tych wydawnictw na półkach księgarskich pojawia się sporo pseudopodręczników, rozmaitych kompilacji o niskiej wartości merytorycznej. Natomiast Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne posiadają dwa niezaprzeczalne atuty: wieloletnie doświadczenie edytorskie oraz niezbędny do produkcji podręczników potencjał finansowy. Dość powiedzieć, że wysokość kredytu zapewniającego Wydawnictwom płynność finansową, bez której niemożliwy byłby sezonowy cykl produkcyjny, wyniosła ok. 120 mld zł w 1992 roku.

## Co po upadku Składnicy Księgarskiej?

Od lat narzekano na działalność Składnicy, ale jej upadek spowodował prawdziwy szok na rynku książki. Odczuły to szczególnie te wydawnictwa, które produkują wielomilionowe nakłady. Wydawnictwa Szkolne zaczęły budować własnej sieci dystrybucji od grudnia 1991 roku, od momentu kiedy zdały sobie sprawę z niewyłączalności finansowej Składnicy. Minie jeszcze pewien czas, nim nowy system dystrybucji upora się w pełni ze sprzedawaniem dzieł milionów książek, ale już teraz okazał się wiarygodny finansowo, w odróżnieniu od doświadczeń ze Składnicą.

## Nowe podręczniki w nowej rzeczywistości

Czy nowe podręczniki odpowiadają nowej rzeczywistości?

— Podręczniki w Polsce nie były tak zafałszowane — odpowiada dyrektor Chrzanowski — jak u naszych sąsiadów, często więc wystarczyły zmiany wręcz „kosmetyczne”. Jeśli jednak uznamy potrzebę nowego spojrzenia na cele i metody edukacji, to korekty dotychczasowych podręczników nie wystarczą. W nowych podręcznikach chcemy stosować „regulę holizmu”, czyli pokazywać wzajemne powiązania między różnymi dziedzinami nauki. Autorzy naszych podręczników stoją przed problemem: w jaki sposób ogarnąć świat w całej jego złożoności, bez przeciążania uczniów wiedzą, jak odchodzić od wiedzy encyklopedycznej ku nauce myślenia, by przygotowywać młodzież do życia w świecie, w którym trzeba będzie na każdym niemal kroku dokonywać selekcji wśród różnego rodzaju informacji, odpowiadać za dokonane wybory. Ale największą barierą stanowią nie trudności w dotarciu do świadomości uczniów, lecz mentalność nauczycieli. To właśnie nauczyciel przede wszystkim musi chcieć i umieć odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Mamy wspaniałych nauczycieli, większość jednak — powiedzmy wprost i bez ogródek — to ludzie konserwatywni.

Konserwyzm nauczycieli — dodajmy — wynika w dużym stopniu z tego, że od wielu już lat próbowano zaoszczędzić na edukacji i pod tym względem na razie nie się niestety nie zmieniło. Nauczyciel to na ogół człowiek zabiegany, z trudem wiążący koniec z końcem. Jeżeli ta niekorzystna materialnie sytuacja nie ulegnie zmianie, to trudno mówić o jakimkolwiek systemie bodźców w szkolnictwie i trudno się spodziewać, że nauczyciel będzie się doksztalał z własnej woli.

— Od odpowiedzialności za stworzenie nowoczesnej szkoły nasze państwo nie może się uchylić — twierdzi dyrektor Chrzanowski. — My jako wydawnictwo możemy tylko wspomóc w realizacji tego zadania, które powinno być pierwszoplanowe. W naszych planach jest wiele pozycji dla nauczycieli, zarówno z dziedziny dydaktyki, jak i książki popularnonaukowe. Myślimy też o wydawnictwach słownikowych i encyklopedycznych pod kątem potrzeb szkoły. No i rzecz bardzo ważna: szkolnictwo zawodowe! To bardzo ważne wyzwanie przyszłości. To właśnie z uczniów szkół zawodowych rekrutuje się inteligencja techniczna, rekrutują się wykwalifikowani robotnicy, czyli nader istotna część demokratycznego społeczeństwa, społeczeństwa otwartego.

## Nie tylko podręczniki

Program Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych nie ogranicza się więc tylko do podręczników — od humanistycznych po techniczne. Wystarczy wymienić tytuły książek, które ukazały się ostatnio oraz tych z zapowiedzi

wydawniczych, by zorientować się, że poza podręcznikowy profil wydawnictwa, to wcale nie wąski margines programu wydawniczego. Zaczniemy od humanistyki. W ceniej i nadal kontynuowanej Bibliotece „Polonistyki” Stanisław Burkot prezentuje twórczość Mirona Białoszewskiego, Stanisław Jaworski opisuje awangardę europejską i polską, a Stanisław Makowski i Eligiusz Szymanis przypominają życie i twórczość Mickiewicza. Ukazały się również: Andrzej Borowski *Renesans*, Józefa Tomasz Pokrzywniak *Ignacy Krasicki* i Stanisława Stabryły *Starożytny Rzym*.

Inna, bardzo znana i ceniona seria to „Biblioteka Analiz Literackich” (BAL) przeznaczona dla uczniów o zainteresowaniach humanistycznych i pomocna dla tych nauczycieli, którzy pragnęliby dać zagadnienie literackie pogłębić i rozwinąć. Nowości z tej serii to: *Hamlet* Williama Szekspira w opracowaniu Jarosława Komorowskiego, *Średniowieczna poezja religijna* autorstwa Jerzego Starnawskiego i *Wiersze Władysława Broniewskiego* pióra Tadeusza Bujnickiego. Nie od rzeczy będzie w tym miejscu wspomnieć o antologii *Krajobraz poezji polskiej* Barbary Krydy, a także o serii lektur szkolnych z komentarzem — jakże przydatnym dla młodych czytelników, którzy z trudem przebijają się przez literackie meandry.

Książki o wysokiej wartości poznawczej to *Historia powszechna 1789-1849* Marii Wawrykowej, *Z dziejów antypolskich obsesji w literaturze rosyjskiej* Jana Orłowskiego, dwutomowe dzieło *Religie Wschodu i Zachodu* Kazimierza Banka, Jana Drabiny i Henryka Hoffmana, Józefa Piłsudskiego *Pisma zbiorowe* (wydane w koedycji z KAW-em), a także dwie książki o charakterze słownikowo-encyklopedycznym *Geografia świata* i *Geografia. Świat i Polska*.

Na koniec warto wymienić te dziedziny, w których Wydawnictwa Szkolne mają sporo do zaoferowania czytelnikowi. Będą to przede wszystkim języki obce — lektury, testy, ćwiczenia gramatyczne, książki z kasetami do ćwiczeń, czasopisma dla uczniów i nauczycieli. Będą to książki, które uczą kochać muzykę i uczą ją uprawiać, książki wprowadzające czytelników w tajniki malarstwa i rysunku, pokazujące, jak znaleźć sposób na realizowanie siebie w sztuce, książki dla bardzo młodych i trochę starszych miłośników przyrody. A także książki dla młodocianych miłośników eksperymentów chemicznych, które pokazują, jak należy obchodzić się z niebezpiecznymi związkami. Będą to wreszcie książki dla nauczycieli i wychowawców, pomagające w rozwiązywaniu problemów, które przynosi każdy kolejny dzień w szkole.

Książki WSiP mają coraz piękniejszą oprawę. Są takie, które mogą z powodzeniem konkurować z wydawnictwami zagranicznymi. Są też takie, które — mimo skromnej szaty graficznej — wnoszą spory wkład do nauki i dydaktyki światowej. Wydawnictwo liczy się już obecnie na edukacyjnym rynku europejskim. Posiada rozległe kontakty międzynarodowe i wykazuje wiele inicjatywy w budowaniu współpracy między domami wydawniczymi zajmującymi się publikacjami oświatowymi. Należy więc tylko życzyć wydawnictwu, by drogą tą szło dalej.

Bogdan Rogatko



Austriacki Konsulat Generalny w Krakowie należy do najmłodszych placówek dyplomatycznych w naszym mieście, niemniej jego działalność w sferze nauki i kultury wydaje się być wzorcowa. Austriacy świetnie pojęli swoją misję polegającą nie — Broń Boże — na sentymentalnym i bezkrytycznym nawiązywaniu do historycznych austriacko-polskich korzeni, lecz promowaniu tego, co nośne i wartościowe, współcześnie inspirujące.

Ideą ufundowanej przed dwoma laty Literackiej Nagrody Georga Trakla jest wyróżnianie polskich poetów. Trakl umarł na początku I wojny światowej w krakowskim szpitalu garnizonowym. Młody poeta nie wytrzymał psychicznie grozy wojny, próbował popełnić samobójstwo, brał narkotyki. Przeniknięta katastrofizm jego poezja jest u n i w e r s a l n a, porównywalna do Apollinaire'a, Czechowicza, Baczyńskiego.

Odwoływanie się współcześnie do Trakla może być rozumiane jako forma protestu przeciwko brutalizacji polityki, braku tolerancji i wolności. Oczywiście nagrodzona poezja musi być dobra i niekoncepcyjna są wyraźne paralele z Georgiem Traklem.

Jury pod przewodnictwem prof. Jana Błońskiego uhonorowało poprzednio poezję Lilii Hartwig, a wśród młodych Marcina Świetlickiego (nagroda promocyjna), natomiast w tym roku — podczas uroczystej laudacji 17-go marca — jury pasowało na poetów „z ducha Trakla”: Bohdana Urbankowskiego i Mariusza Baryłę (nagroda promocyjna).

Poniżej prezentujemy wybrane wiersze Bohdana Urbankowskiego z nagrodzonego tomu *Głosy* i Mariusza Baryłę *Czas karmienia szczurów*. Teraz kolej na lansowanie ich poezji w obszarze niemieckojęzycznym. Prestiżowa Nagroda Georga Trakla bezsprzecznie stwarza taką szansę.

(zb)

## Bohdan Urbankowski

### Stary Jehowa

Umarł już stary Jehowa, handlarz mydłem  
ale nie rozpaczajcie wierni przyjaciele  
wkrótce znów zobaczycie Go w Jego sklepiu  
w różowym opakowaniu.

## Mariusz Baryła

### Czas karmienia szczurów

Salzburg. Zmierzch. Butwiejące liście  
jak piękne twarze z domu umarłych.  
Szczupły chłopiec o wodnistych oczach  
karmiący na podwórzu szczury.

Wiedeń. Jesień przychodzi tu niespiesznie.  
Deszcz liże dachy i oslepia okna.  
Wśród obłąkanych luster z przeźroczystym  
gardłem mężczyzna na kobietę czeka.

Kraków. Czerwone złoto. Gwiazdy wschodzą  
pod skórą żołnierza. Białe ptaki o poranionych  
lotkach. Porcelanowa baletnica z pokoju matki.  
Rubinowe szkło. Błysk magnezji. Jesień.

BOHDAN URBANKOWSKI, ur. 1943; laureat Łódzkiej Wiosny Poetów oraz Nagrody im. Czechowicza. Wydał m.in. *Chłopiec, który odchodzi*, *Erotyk dla następcy*, *Galeria rzeźb pośmiertnych*. Mieszka w Warszawie.

MARIUSZ BARYŁA, ur. 1964, publikował m.in. w „Res Publice”. Mieszka w Piotrkowie Trybunalskim.

## Gwyn Williams (ur. 1904)

### ZIMNY FRONT

Wzrok wahającego się września cięży  
źrebakowi, gałęzi i myśli, odrzutowiec,  
który rozdarł moją przestrzeń powietrzną,  
jęczy wysoko jak Everest, cała zachodnia  
Walia milczy, trwa w ekwinokcjum  
strachu i śmiechu, milczy po żniwach  
i po pogrzebie nasion. W tym roku  
szczygły nie krzeszą ognia w ostach,  
sowa nie daje sygnału do polowania.  
Śmierć jest w trawie dla najjaśniejszych  
pokoleń. Walczę z tymi wersami i wizją  
nieskłonny stawić czoła zimie i symbolowi  
śmierci narodu, chyba że z morza wyjdzie  
powietrze a mroczny kwiat dnia św. Michała  
stanie się obietnicą jaskrawej eksplozji.  
Jesienne rzeczy, sherry, katalogi cebulek,  
państwo i ciało kobiece eksponowane  
w czerni i bieli, biel i czern ludzkiej  
pogardy dla ludzi, rdza na drucie,  
oziębłość kamienia, poranna chmura  
na wzgórzu zapowiadają śmierć, wyrok,  
który wrzesień waha się wydać.



## Harri Webb (ur. 1920)

### BUMERANG W SALONIE

Will Webb, syn farmera ze skalistego Gower,  
Jako młody człowiek wyjechał do Australii zamieniając  
Stłoczony półwysep na odludzie, oszczędną  
Szachownicę pól na rozrzutne przestrzenie przemierzane  
Wzdłuż króliczych płotów lub pod strzelistymi jarrami.  
Kiedy wrócił, przywiózł ze sobą bumerang dla ozdobienia  
Kominka, grot z zielonego szkła butelkowego  
Wykonany przez tubylca, kilimek ze skóry emu  
I wiersze Banjo Pattersona. Ode mnie,  
Swego syna, oczekiwał dokończenia podróży  
Przerwanej w Gallipoli, ja także miałem ujrzeć  
Rzekę czarnych łabędzi. Mapa Australii  
Tatuazem pokrywała jego prawe ramię.

I tak mam drugą  
Hipotetyczną australijską jaźń niedoszętego  
Przybysza z czystego, nowego, pustego kraju,  
Gdzie prawie wszystkie pieśni trzeba będzie dopiero  
Zaśpiewać. To właśnie może ten cień przeprowadził mnie  
Przez wyspy czarów, przylądki, które mogły być  
Nazywać się: podstęp, rozczarowanie i pożegnanie,  
Do obcego i spokojnego brzegu, gdzie teraz stoje,  
*Terra Incognita*: ląd, którego pamięć jeszcze się  
Nie zaczęła, przeszłość odeszła w niepamięć,  
A ostał się tylko śmietnik mar, legend i kłamstwa.  
W sercu tej ziemi również króluje pustynia.

# POEZJA WALIJSKA

w tłumaczeniach  
Andrzeja Szuby



## Gillian Clarke (ur. 1937)

### DZIEŃ

### ŚWIĘTEGO TOMASZA

To najmroczniejszy poranek roku.  
W rynnach na podwórzu  
Budzi się dzień; mruganie  
Światła w dachówkach;  
Zelżał kamienny uścisk  
Nocy na kurku i zasuwie.

Deszcz na twarzy wskrzesza mnie  
Z niedawnego snu. Idę przez  
Podwórze, łopata tłucze się  
W taczkach, sztywne  
Zawiasy palców. Catrin  
Przynosi otręby i świeże siano.

Parsknięcie w ciemności,  
Popchnięcie to znak supremacji.  
Grzeje dłonie w parze  
Powitalnego oddechu.  
Środek zimy, tylko tu  
Jeszcze pola pasą konie,  
Kopyta i zęby ścierają  
Oset i kwiaty na prosek.



Prezentowani poeci reprezentują tzw. nurt angłowalijski w poezji brytyjskiej. Posługując się językiem angielskim, chętnie przyznają się do walijskich korzeni. Wszyscy należą do Angielskiej Sekcji Akademii Walijskiej (Yr Academi Gymreig), grupującej kilkudziesięciu najwybitniejszych poetów, prozaików i dramaturgów walijskich. W latach siedemdziesiątych niektórzy z nich byli aktywnymi uczestnikami ruchu literackiego, który przybrał nazwę „drugiego rozkwitu” (second flourishing), w odróżnieniu od pierwszej, krótkotrwałej erupcji talentów w latach trzydziestych.

A. S.

**M**ija piętnaście lat od śmierci mojego Ojca. Umarł 28 kwietnia 1978 roku.

Był poetą i dziennikarzem, uprawiał satyrę, przetłumaczył wiele książek, pisał dla całkiem małych czytelników, wydał kilka utworów prozą dla młodzieży. W prasie codziennej ukazywały się Jego fraszki, humoreski, recenzje teatralne. W cyklach radiowych felietonów przypominał tych, którzy już odeszli, których zachował w pamięci. Ludzi związanych z Krakowem.

Nazywałam go Dada. Gdy byłam małą poświęcał mi bardzo dużo czasu. Ze wszystkich wspólnych zabaw najciekawsze były chyba wędrówki po mieszkaniu. Wtulałam się w surdut Dady (nigdy nie mówił: „marynarka”, tylko właśnie „surdut”), zaciskałam powieki i szliśmy tak pokonując wiele niebezpieczeństw. Przekraczaliśmy bohaterstwo rwące rzeki i przepaście, aby w końcu wyjść na spokojne łąki pełne kwiatów i owadów. Gdy zmęczyłam się wędrówką i nasyciłam urodą wymyślonych krajobrazów, siadaliśmy obok siebie w fotelu i zaczynały się zgadywanki. Wolałam zgadywanki od wymagającej błyskawicznego refleksu zabawy: „nos — kolano” albo, podobnej w założeniach: „każde zwierzę co ma pierze fruwa do góry”. Musiałam tylko pomyśleć o kimś lub o czymś i na pytania Dady odpowiadać „tak” lub „nie”. Przeważnie w drugim czy trzecim okrążeniu miał już słowo, które chowałam w głowie. Pamiętam jak postanowiłam wymyśleć coś specjalnego.

Pomyślałam o Nim. Z góry cieszyłam się, że nie zgadnie tak szybko. Nie pomyliłam się. Przeszedł pierwsze pytania, wyszło, że to coś nie jest rybką ani ptakiem, ale człowiekiem, którego często widuję.

— Krewny? — zapytał Dada.

— Nie — odpowiedziałam bez wahania.

— Znajomy?

— Nie! — krzyknęłam z triumfem, widząc, że jakby stracił koncept i zamilkł.

— No to jak — zapytał w końcu — ani krewny ani znajomy, to kto to taki?

— Ty!

Nie mieściło mi się w głowie, aby Dada mógł dzielić z kimkolwiek swą wyjątkową pozycję w moim życiu. Znajomy to był np. pan Jan Wiktor. Przychodził, mówił do Ojca: Wy, jakby było dwóch Dadów a nie jeden. Miał kłopoty z płucami, zasłaniał usta ręką, gdy wchodził mu na kolana. Krewni to byli wujkowie i ciotki. Cała masa ciotek. I tu nagle okazało się, że ten jedyny człowiek na świecie jest moim krewnym jak ciocia Ela np., którą bardzo kochałam.

— Przecież jesteś moim ojcem! — zaprotestowałam.

— Właśnie dlatego jestem twoim najbliższym krewnym.

Najbliższy. To już można było jakoś przyjąć do wiadomości.

Byłam jedynaczką. Dzieckiem, na które czekali. Zwłaszcza Ojciec. Mama niepokoiła się co urodzi. Podobno nie wolno było nawet żartem mówić o możliwości przyjścia na świat synka. Byłam córką na zamówienie. I z tego wywiązałam się w 100 procentach. Ciekawiło mnie jednak, co by to było, gdybym była chłopcem. Mama twierdziła, że sobie tego nie obraża. Wyrastałam więc w przeświadczeniu, że gdybym była synem, to kto wie, jakby ta rodzinna sielanka wyglądała. To, że nigdy nie zapytałam o to Ojca, było znamienne. Uwielbiałam Go, ale bałam się Jego gniewu a najbardziej — zakłopotania. Od niewygodnych pytań i tematów była Mama. I nic się w tym względzie nie zmieniło przez cały okres mojego dzieciństwa i młodości. Na przykład to, że będę miała dziecko, powiedziałam Ojcu na ulicy, nieda-

leko domu. Taka lokalizacja rozmowy ograniczała do minimum reakcję, jakiej się spodziewałam. Mój Ojciec był satyrykiem. Był najbardziej tragicznym humorystą. Zwłaszcza gdy szło o sprawy dotyczące domu, Mamy i mnie. Strzegł nas przed wszelkimi zagrożeniami: katarem, skręceniem kostki, złym wpływem otoczenia. Miałam przecież specjalne zdolności do wpadania w nieodpowiednie towarzystwo. Jeżeli chłopak, przeważnie tępiony od zarania znajomości, stawał się moim mężem, nie zmieniło to ponurego stosunku mojego

Ojca, fraszkopisarza, do zięcia. Po pierwszym szoku wywołanym informacją, że w przewidzianym terminie zostanie dziadkiem, wyjechałam z mężem na wakacje. W częstych listach donosiłam Ojcu jak się czuję. Gdy wyjeżdżałam z domu byłam zobowiązana do wysyłania codziennych sprawozdań. Zresztą lubiłam pisać do rodziców, bo wiedziałam, że bardzo czekają na wiadomości ode mnie. Gdy poczułam pierwsze ruchy dziecka, zawiadomiłam Dade, że jego wnuczek, Grześ (byłam pewna, że to będzie syn) już kopie i przewraca się z boku na bok. Odpowiedź przyszła natychmiast. Fakt, że było to pismo żartobliwe. Ojciec pisał, że cieszy się, iż jego wnuczka, Agnieszka, daje o sobie znać. A przecież urodził się Grześ, nie Agnieszka. I to Grześ stał się największą i ostatnią miłością Dady. Tak wielką, że tamto uczucie, ojca do córki, jakoś zbladło i przycupnęło w przeszłości. Więc może nie byłabym niekochanym synem?

Mój Ojciec był racjonalistą.

Jego wiersze są czytelne i przejrzyste. Ale pamiętam kilka rozmów, w których zadziwił mnie, mnie wychowaną w złudnym przeświadczeniu o nieograniczonych możliwościach ludzkiego umysłu. Świat trzeba pojmować racjonalnie, wszystko jest w nim do wyjaśnienia, to tylko kwestia czasu. Przez wiele lat nie miałam najmniejszej wątpliwości, że mój Ojciec — racjonalista ma rację. Ale to właśnie On opowiedział mi tę dziwną historię o wróblu.

Szedł obok starych fortów, zobaczył na jezdni przy ulicy Kamiennej dogorywającego wróbla. Delikatnie przeniósł go pod pobliskie krzewy. Zaznaczył to miejsce i wracając ze spaceru zaglądnął pod liście. Ptaka nie było. Wieczorem jak co dzień, zapuszczał story w oknach. To staromodne urządzenie odcinało pokój od światła latarni i rannego słońca. Stora nie chciała zaskoczyć i Ojciec, mocując ją ujrzał w skrzynce między kwiatami małego, szarego ptaka. Był to wróbel. Zbliżył do niego dłoń, ptak nie uciekł. Wtedy Ojciec wziął go do ręki. Po raz drugi, tego samego dnia, trzymał wróbla w garści! To płochliwe i zwinne stworzenie siedziało przez chwilę przycupnięte a potem nagle wystrzeliło prosto w niebo, widoczne na tle różowej smugi, poblasku zachodu.

— To było tak — powiedział — jakby ten sam ptak, którego rano złożyłem w bezpiecznym miejscu, przyleciał pod wieczór, aby mi podziękować.

Nie byłam pewna, czy żartuje, czy mówi serio. Ale wyraz Jego oczu rozstrzygnął me wątpliwości. Jakby patrzył w głąb siebie.

Kiedyś natknęłam się na wiersz Ojca w jakimś piśmie. Nie podobał mi się i denerwował rekwizytami, których sensu nie potrafiłam odczytać.

— Co to są te „twarze z papieru”, co to jest

ten „uśmiech z dykty”? — zapytałam autora.

W odpowiedzi wykonał tylko nieokreślony ruch ręką.

— Jak to — nie dawałam za wygraną — sam nie wiesz co to takiego?

— Nie wiem — przyznał mój Ojciec-racjonalista.

Fragment wspomnienia o Ojcu, przygotowanego do druku, jako wstęp otwierający wybór Jego wierszy.

## ELŻBIETA ZECHENTER-SPLAWIŃSKA

# Dada



Fot. Archiwum

## Witold Zechenter

### Wczoraj — dziś

Chciałbym cię widzieć w dawnym zamyśleniu  
dziewiętnastowiecznych akwarel  
czy sztychów  
w secesyjnej oprawie pod cieniem Wawelu  
tego  
co swe godziny dziś dzwoni  
donikąd

Chciałbym widzieć twe mosty łukiem nowo-  
czesnym  
płynące ponad Wisłą  
tą dawną  
srebrzystą  
tą niską  
wąską rzeką zapomnianych pieśni  
którym się jeszcze nie marzyła przyszłość.

I gdzieś na Kanoniczej  
na Grodzkiej  
Senackiej  
spotkać cię w pelerynie  
w kapeluszu z rondem —  
podbiec z gorącym sercem...  
Ktoś szepnie:  
— Wyspiański...  
on wciąż się tutaj błąka —  
nie może stąd odejść.











# Oszołom w ogrodzie

Chrzan du Jardin

W ubiegłym roku („o roku, uff” — jak powiedział jeden przedwojenny satyryk) napisałem dla paryskiej „Kultury” artykuł o oszołomach. W jakiś czas potem spotkałem pewnego znamienitego przedstawiciela gatunku, którego skądinąd darzę sympatią, a on z forykowaniem do mnie: „Coś ty tam napisał o oszołomach! Ja chciałbym wiedzieć, kto to są te oszołomy?”. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko obiecać, że mu kupię lustro do łazienki, by mógł tam co dzień przy goleniu obejrzeć sobie takiego jednego.

Tyle że oszołomami mieni się przeważnie takich, co to „robią w polityce”, a zapomina o tym, że krąk nasz nieduży, lecz gustowny roi się od rozmaitych odmian owego zjawiska. Między innymi przejawia się ono także w sferze kultury (już tym razem ani paryskiej, ani krakowskiej, tylko takiej najzwyczajszej) — stąd zapożyczony od Herberta i co nieco strawestowany tytuł.

Że rodacy lubią nieustannie grymasić, markocić, oburzać się lub postękiwać, chciałbym się od takowych nadczynności odciąć, zwłaszcza, że noszą one wirusa najgorszej dla felietonisty choroby: mendopsychis acuta. Ale w tym wypadku „nie chcę ale muszę”. Do ogrodu nauk i sztuk zaglądamy poza oszołomami zawodowymi także oszołomy dziennikarskie. Ta słabo pojęta rasa jednego nauczyła się po intronizacji demokracji: pogoni za sensacją. Każdy chciałby wyciąć jakiś watergacik narodowy, stąd cokolwiek by się nawinęło — dobre dla rozróby. Toczą się tedy po lechickich rozłogach pomruki, poszumy, a nawet wrzaski, nie mówiąc o węchowych następstwach tych wrzaw.

Zajmijmy się dwoma przykładami sensacjonizmu oszołomskiego. Poniektórzy uczeni krakowscy (niech im Planty lekkie będą!) rozpętali burzę w szklance wody: że konserwatorzy zniszczyli Barbakan. Dziennikarze to podjudzenie podchwycili żwawo (na Wawel, na Wawel — to już było, teraz będzie: na Barbakan, na Barbakan Krakowiaczku żwawo!) i przyczynili się do profesorsko-uczonogo sukcesu: wygrzyziono ze stanowiska Janusza Smólskiego, najlepszego po wojnie konserwatora w Krakowie. Brawo, Brawissimo! Drugim sukcesem stało się zablokowanie dalszych prac, bo krakowska uczoność opowiedziała się za kontynuacją prac przez firmę, która w tymże Barbakanie była fizycznym sprawcą smrodu. Wolę nie wchodzić w przyczyny tego zagorzałego poparcia — trud ten zostawiając dziennikarzom-oszołomom.

Bo teraz chciałbym ogłosić swoją własną, niebywałą rewelację: otóż, proszę szanownego Czytelnictwa, Barbakan stoi i nic nie wskazuje, by się miał zawalić. No chyba, że go się jeszcze głębiej podkopie, szukając archeologicznych korzeni, albo przywróci fosę i wypełni ją wodą (styszałem na własne uszy zachwyty nad tym, że najpiękniejszy był Barbakan, gdy się w wodzie przeglądał, tyle że jak wykazały badania: fosa była sucha). Już się nawet projekt zrodził, by tą pierwotną suchą fosę wykopać, napęłnić wodą a z jezdn

ul. Basztowej zrobić Ponte dei sospiri. Bo w tym kraju powzdychać też nigdy nie zawadzi!

Ale nie tylko w podkrakowskim grodzie oszołomów w ogrodzie nie brakuje. Są też wśród warszawskich Kurpsiów. Kolejna rozróżba dotyczy kolekcji pp. Porczyńskich, czyli Galerii im. Jana Pawła II. Otóż w „Biuletynie Historii Sztuki” ukazał się artykuł, będący analizą historyczną i stylistyczną obrazów włoskich wchodzących w skład tej kolekcji. „Biuletyn” — wychodzący w 1000 egzemplarzach — ma obieg zamknięty: dociera do garstki naukowców i hobbystów, więc gdyby nie wywołano burzy, rzecz przeszłaby niezauważona. Tymczasem sprawę rozdmuchano, nagłośniono i oszołomy zaczęły judzić na siebie zwaśnione strony. O co chodzi? A no o to, że autor zakwestionował autentyczność szeregu obrazów.

Ja się stroną merytoryczną nie zajmuję, brak mi zresztą po temu kompetencji — nie jestem przecież dziennikarzem. Być może w kolekcji są same autentyki, być może są także i falsyfikaty. Leży u mnie wspaniale wydany katalog wielkiej wystawy, która się przed kilku laty odbyła w Nowym Yorku. Tytuł brzmi: „Fake — the Art of Deception”, a zawartość ujawnia, że falsyfikatory byli zawsze i w starożytnym Państwie Środka, i w Egipcie, i w Grecji. Falszerstwo to sztuka zawodu, rozczarowania, ale także doskonałości technicznej. Dziś, gdy umiejętność w tym zakresie jest niezwykle wysoka i odwrotnie proporcjonalna do umiejętności artystów oryginalnych, zaczynamy zmieniać swe nastawienie do falsyfikatorów. Ale to już inna sprawa.

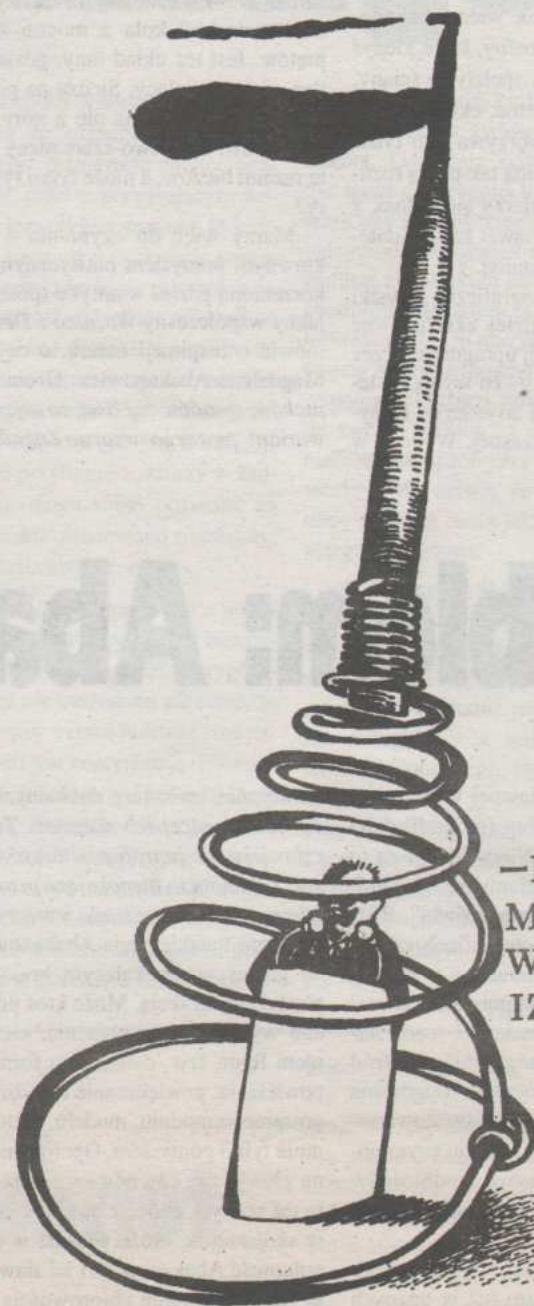
Sprawa, która mnie poruszyła to fakt, że stała się krzywdą ofiarodawcy, który naszemu krajowi złożył dar niemaby, fortunę utopioną w dziełach sztuki, które zakupywał, by je dać ojczyźnie, gdzie zbiorów z obcym malarstwem jest przecież tak mało i gdzie muzealnictwo przegrywa narodowi na skrzywkach Janka Muzykanta.

Jestem za wolnością badań naukowych (podkreślał to list otwarty wydany przez „moje” Stowarzyszenie Historyków Sztuki), ale jestem także za taktem. Tego taktu zabrakło tym, którzy rozdmuchiwali „afery”, którzy ją nagłaśniali. Doszło wręcz do pyskówek, które pasują raczej do targowisk niż ogrodów. Więc gdy ostatnio redaktor inkryminowanego „Biuletynu” pytał mnie, co sądzę na ten temat, odpowiedziałem bez zająknięcia: sądzę, że należy natychmiast zaprzestać wszelkich polemik, należy zamilczeć, niech płomienie gniewu i oburzenia przygasną, a dla pp. Porczyńskich żywiłem i żywić będę nadal głęboki szacunek i wdzięczność. Niezależnie czy są w tej kolekcji falsyfikaty, czy też wszystko jest czyste jak lza.

Bo skoro zacząłem od Herberta, to chciałbym przy jego pomocy zakończyć:

lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku  
Tak smaku  
w którym są włókna duszy i chrząstki  
sumienia

## TEATRZYK RYSUNKOWY



—PANIE  
MARSZAŁKU,  
WYSOKA  
IZBO...

Rys. Aleksander Pieniek

## HYDE PARK CZYTELNIKÓW

Dziś przypominamy prezentowaną już kiedyś przez nas autorkę, MAGDĘ GRYGIEL, studentkę I roku polonistyki z Krakowa. Podoba nam się (choć nie w pełni) wiersz z nowego zestawu. To dość udany przykład znalezienia właściwego ekwiwalentu poetyckiego dla stanu własnych uczuć. Radzimy jednak popracować jeszcze nad stosowaniem przeczutni!

### Samotne godziny

Dziwny autobus, w nim tacy  
dziwni ludzie i ja wśród nich...  
Ostatni przystanek.  
Wysiadam  
Sama wchodzę na puste schody.  
Mocna herbata, głupi telefon,  
moje życie.

## Wisława Szymborska

Oto portrecik pani Walas.  
Wykonał sepleniący malaz.

Rysunek piórkim — Marta Wyka.  
Rzuca się w oczy brak stanika.

Jan Prokop z brodą — ale gwasz!  
Dużo go poszło na tę twarz.

Kuszenie Ewy (Lipskiej) — glina.  
Lepił amator z Kobierzyna.

Krzysztof Lisowski u Wierzyńka.  
Widzów przyciąga raczej szynka.

Akt W. Twardzika — olej w ramach.  
Komentuj, ale nie przy damach.

Liryk Moczulski — niepodobny.  
W dzisiejszej sztuce feler drobny.

Tadeusz Nyczek — nowy Manggha.  
Nie pytaj czy ta sama ranggha.

## Galeria pisarzy krakowskich

Czałczyńska Basia — rozebrana.  
Dzieło z pewnością nie Tycjana.

Grupa kolegów z SPP.  
Do słowa „grupa” rymy w tle.

Szymborska — gips. Łaskawy los  
obtłukł ją trochę, zwłaszcza nos.

Wiesław Szymański — fragment fresku.  
Nie podnoś tylnej nóżki, piesku.

Pilch Jerzy. Wygląd jego zdrowy  
uchwycił malarz pokojowy.

Zespół „Dekady”. W żadnym razie  
Nie stawaj przy tym bohomazie.

Zechenterówna - pinxit wampir.  
Szyjka poetki w stylu ampir.

Elektorowicz - całkiem gratis  
wymuskał go miejscowy Matis.

M. Stala zaczytany w Nietzschem.  
Można to śmiało nazwać kiczem.

Maj. Nieznanego twórcy szych.  
Kup, jeśli chcesz zagrabić strych.

Stanisław Balbus. Same kości.  
Przystosowany do wieczności.

Zakopane, październik 1992